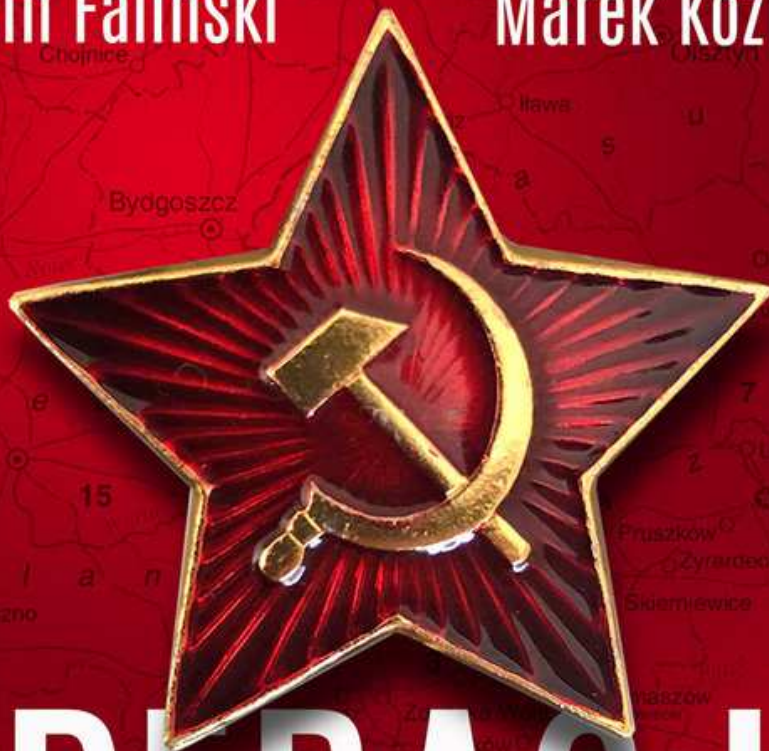


**Marcin Faliński**

**Marek Kozubal**



# OPERACJA RETEA

**FINAŁ PORYWAJĄCEJ  
TRYLOGII SZPIEGOWSKO-HISTORYCZNEJ**

**CZARNA OWCA**

# WSTĘP

## Polska – wiosna 2014 rok

Sięgnął ręką do wewnętrznej kieszeni i szybko wyjął z marynarki jedwabną chusteczkę. Spojrzał na wyhaftowaną literę *E* i przypomniał sobie dłonie ukochanej Evelyn, które ją naszyły. Pamiętał, że kiedyś, zawsze przed realizacją zadania, całowała ten kawałek materiału swoimi pełnymi karminowymi wargami i wkładała mu chusteczkę w dłoń. To miało mu zapewnić szczęśliwy powrót do domu.

Ile to już lat minęło od tamych chwil? Trzydzieści?

Ze szklanego stolika podniósł filiżankę kawy. Napój nie miał takiego smaku jak jego ulubiona red bourbon – z lekkim posmakiem suszonych owoców wiśni i aromatem czerwonego wina. Tymczasem zanurzył usta w gorącym, nieco mdłym napoju, który był zbyt kwaskowaty. Zapewne ziarna zmielono zbyt dawno. „Pewnie leżały blisko herbaty i mięty” – pomyślał, wyczuwając ich delikatną woń. A smak, pomimo upływu lat, ciągle miał doskonały.

Wyglądał jak przeciętny turysta, chociaż nieco inaczej ubrany niż zwykle pojawiający się w tej okolicy Warszawy przyjezdni z Wysp Brytyjskich, Niemiec, Rosji czy nawet Japonii. Nazbyt elegancki i ubrany ze smakiem. Wprawny obserwator mógłby jednak zauważyć, że ma na sobie sztruksowe spodnie, które modne były kilkanaście lat temu. Brązowe, lekko wytarte skórzane trzewiki lśniły w słońcu. Jasna koszula i tweedowa jednorzędowa brązowa marynarka Harrisa idealnie opinały jego klatkę piersiową.

Dawno skończył siedemdziesiątkę, ale utrzymywał doskonałą kondycję. Nie tylko ćwiczył na siłowni, ale też codziennie starał się pływać w basenie. Siwe, nadzwyczaj bujne jak na ten wiek włosy kontrastowały z delikatną opalenizną, a piwne oczy mogły wskazywać na jego południowe pochodzenie. Kobiety, które spotykał na swojej drodze, porównywały go z Humphreym Bogartem. Może dlatego, że jego twarz – zawsze gładko ogolona – była lekko pociągła i zakończona podbródkiem z delikatnie zarysowanym dołkiem.

Spojrzał na zegarek i oszacował, że może jeszcze posiedzieć przy kawiarnianym stoliku kilkanaście minut. W tym momencie z głośnika umieszczonego wewnątrz budynku popłynęły dźwięki tak bliskiej mu bossa novy. Zanurzył się w delikatny rytm *Garota di Ipanema* wykonywanej po angielsku i ponownie odpłynął myślami za ocean. Zmrużył oczy. Przed nimi przepłynął obraz z przeszłości, gdy razem z Evelyn wybrali się z Belo Horizonte czerwoną alfą romeo do Nova Ponta da Fruta nad oceanem. Tam, w barze na nadatlantyckiej plaży, po raz pierwszy usłyszał utwór Jobima i Moralesa w wykonaniu João Gilberto oraz aksamitny głos jego ukochanej Astrud. Tańczyli z Evelyn na piasku do późna w nocy, a potem namiętnie się kochali w wynajętym na weekend niewielkim domku stojącym kilkadziesiąt metrów od brzegu oceanu.

*Yes, I would give my heart gladly but each day as she walks to the sea – zanucił pod nosem.*

Starszy mężczyzna ocknął się z zadumy. „Zbyt to wszystko sielankowe. Sentymentalne? Za bardzo” – pomyślał. Ponownie spojrzął na niebieski cyferblat swojej sekondy. Lubił zegarki tej marki – jednego z niewielu eksportowych radzieckich hitów, które zdobyły zachodnie rynki zdominowane przez szwajcarskie, japońskie czy niemieckie firmy z tej branży. Od momentu wypadku, w którym został poparzony, nosił zegarek na lewej ręce.

Poprawił krawat, a rogowe okulary przeciwsłoneczne założył na nos. Zarzucił na rękę oliwkowy, nieco staroświecki płaszcz i energicznie wstał. W tym momencie odruchowo dotknął wewnętrznej kieszeni. Pod palcami wyczuł charakterystyczny kształt rewolweru – pięciostrzałowego Taurusa 605. Ten dotyk przywrócił trzeźwość jego umysłowi. Musiał być czujny i skoncentrowany na zadaniu, które miał wykonać. Nie mógł sobie pozwolić na jakikolwiek moment zawahania.

Tym razem musiał posprzątać i zatrzeć ślady. Miał przerwać nici, gdyż te mogłyby doprowadzić do odkrycia osoby i służby, która za wszystkim stała. Ale też czuł przez skórę, że coś się kończy. Nie towarzyszyło mu już takie napięcie, jakie niemal zawsze odczuwał w przeszłości, z mniejszą lub większą intensywnością, w czasie realizacji podobnych operacji. A miał ich za sobą wiele. Musiały się mocno wysilić, aby przypomnieć sobie twarze osób, z którymi skrzyżował go los i których linię życia przeciął.

Pod filiżanką zostawił dwadzieścia złotych. Podniósł się i niespiesznie ruszył Chmielną w kierunku Nowego Świata, gdy nagle jego wzrok zatrzymał się na charakterystycznej postaci, a następnie zaczął ją śledzić.

Wysoki ciemny blondyn wyłonił się z bramy kamienicy zaledwie kilkanaście metrów od niego. Przeciął jezdnię i zatrzymał się przy witrynie sklepu z odzieżą. Wszedł do środka. Po chwili wyszedł, ale zatrzymał się na ułamek sekundy w drzwiach. Mogłoby się wydawać, że lustruje otoczenie. Potem spokojnie skrzył w wąski prześwit między kamienicami. Miał na sobie rozciągniętą czarną bluzę z kapturem oraz ciemne spodnie bojówki i różnił się znacznie od wizerunku ze zdjęcia, które starszy mężczyzna oglądał przed przyjazdem do Polski. Mimo to nieco staroświecki dżentelmen był jednak pewien, kogo ma przed oczami.

Włożył oliwkowy prochowiec i ruszył za blondynem. Szedł w takiej odległości, aby nie stracić go z oczu, ale też żeby nie narazić się na dekonspirację. Miał cholerne szczęście, bo zakładał, że spotka tego młodego człowieka dopiero za jakiś czas w pewnej piwiarni przy Nowym Świecie. Informację o tym, kiedy i gdzie może się w niej pojawić, przesłano mu w krótkim esemesie.

Przy Juliana Tuwima ocenił, że przyszedł właściwy moment na realizację zadania. Ulica była pusta, późnowiosenny popołudniowy upał zamknął okolicznych mieszkańców w ocienionych mieszkaniach. Z otwartego okna na drugim piętrze płynął dość głośno hip-hop, który zagłuszał miejski szum. To też mu sprzyjało. Sięgnął prawą dłońią do kieszeni marynarki, wyczuł chłód rękojeści rewolweru i... w tym momencie powoli ją cofnął. Z pobliskiej bramy wyszedł szybko jeden, a za nim drugi mężczyzna. Mieli sportowe buty trekkingowe, dżinsy i przeciwdeszczowe kurtki z goretexu. Jakby wybierali się na wycieczkę w góry, a nie na spacer po stolicy Polski. Po ich ruchach widać było, że kogoś szukają. Zastanawiali się, w którą bramę wejść. U jednego z nich – wyższego z ciemnym wąsem, zauważył w uchu słuchawkę. Po chwili ten ze słuchawką zaczął coś komuś tłumaczyć, korzystając z łączności bezprzewodowej. Z dala wyglądało to tak, jakby rozmawiał sam z sobą.

Miał za sobą dziesiątki podobnych operacji i nigdy przeczucie, a w zasadzie wieloletnie doświadczenie, nie pozwalało mu błędnie ocenić sytuacji. I tym razem wyczuł zagrożenie. „Nie wyglądają na jego ochronę. Obserwacja!” – pomyślał i cofnął się w cień pobliskiej bramy.

W tym momencie blondyn na chwilę odwrócił jakby od niechcenia głowę. Na ułamek sekundy ich spojrzenia się skrzyżowały. Blondyn przeczesał dłonią włosy. Wyraz twarzy wskazywał, że zastanawiał się nad czymś przez chwilę. Ruszył dalej. Za nim w pewnej odległości podążyli po czterech, pięciu sekundach dwaj mężczyźni w kurtkach goretextowych. Kiedy wydawało się, że nie stracą z zasięgu wzroku blondyna, z ulicy Górskiego wyszła kilkunastoosobowa grupa przedszkolaków w żółtych kamizelkach. Dzieci, które trzymały się za rękę, przecięły drogę pomiędzy blondynem a podążającymi za nim wywiadowcami. Ci zaczęli miotać się pomiędzy dziećmi. Nie wiedzieli, jak sobie z nimi poradzić. Delikatnie próbowali je odsuwać ze swojej drogi, ale opiekunka grupy zaczęła ostro protestować.

– Panowie, spokojnie, to są dzieci! Uważajcie na nie! Stasiu, odsuń się! – krzyknęła do jednego z maluchów.

Trwało to kilkanaście sekund. W tym czasie blondyn wszedł w martwe pole. „Dziękuję, dzieciaki” – pomyślał. Tak jak planował, wyszedł spod obserwacji. Zawsze marzył, aby tak jak kiedyś oficerowie CIA czy BND wykorzystać system przejść w tym rejonie. Miał w pamięci opowieści chłopaków i dziewczyn z dawnej betki o rozrysowanych przejściach, bramach, zakamarkach, drzwiach, zaułkach między Alejami Jerozolimskimi a ulicą Świętokrzyską. Major Agencji Wywiadu Marcin Łodyna zmierzał na spotkanie ze swoją koleżanką ze służby Magdą Sierpecką oraz oficer CIA Kate. Miał się dowiedzieć, kto jest rosyjskim agentem na Miłobędzkiej.

Gdy dwaj mężczyźni zniknęli mu z oczu, starszy mężczyzna oparł się o ścianę cuchnącą moczem i pomazaną graffiti. Dopiero teraz do niego dotarło, że już przecież widział tego blondyna. „Dlaczego, kurwa, wcześniej nie rozpoznałem go na zdjęciu?! Co jest ze mną?!” Wiedział, że nie wykonał zadania, ale w tych warunkach nie mógł tego zrobić. Dekonspiracja nie wchodziła w grę. To miała być tajemnicza śmierć podbudowana później całym ciągiem działań dezinformujących polskich śledczych.

„Nie teraz. Nie teraz. Okoliczności się zmieniły, a jemu się upiekło” – tłumaczył się przed samym sobą.

Doszedł do ulicy Wareckiej. Zdawał sobie sprawę, że musi wyjść jak najszybciej ze strefy prowadzonych działań obserwacyjnych. W innym wypadku mógł zostać przypadkowo nagrany lub zapamiętany. Nie mógł do tego dopuścić.

Skręcił w lewo, w Nowy Świat. Dotarł do Świętokrzyskiej. Na przystanku wsiadł w autobus, którym dojechał do przystanku rondo ONZ. Przy ulicy Twardej wstąpił do sklepu i kupił kawałek swojskiej, mocno czosnkowej kiełbasy, dwie chrupiące kajzerki i kilka ogórków kiszonych. Potem podszedł kilkadziesiąt metrów i wsiadł do zaparkowanego granatowego forda fiesty. Zamknął oczy. Dzisiaj miał wyjątkowo intensywny dzień. Zostało mu jeszcze jedno zadanie do wykonania. „Na razie jeden do jednego”. Uśmiechnął się w duchu na myśl, że użył piłkarskiego porównania.

Przed południem był w szpitalu MSWiA w Warszawie przy Wołoskiej. Samochód zaparkował przy ulicy Dąbrowskiego z dala od kamer ochrony. Przeszedł koło wejścia głównego. Minął po lewej park ze stawem. Skręcił w prawo pod niewielki daszek nad

bocznym wejściem. Wewnątrz budynku skierował się do windy. Znalazł się na miejscu. Przed wejściem na oddział hematologii i onkologii przygotowany był na wykorzystanie legendy, która miała mu pozwolić dostać się do jednej z sal dla pacjentów. Nie było jednak takiej potrzeby. Miał bardzo dużo szczęścia. Pielęgniarka oddziałowa akurat gdzieś wyszła. Nagle z gabinetu wyłoniła się lekarka, która trzymała w ręku plik papierów, przepuścił ją i wszedł na wewnętrzny korytarz. Uśmiechnął się do lekarki i powiedział z akcentem Kresowiaka:

- Szanowna pani, ja do brata. Romańczuk ma na nazwisko.

Mówiąc to, jakby bardziej się zgarbił. Starał się wyglądać na jeszcze starszego. Lekarka spojrzała na niego badawczo.

- Ależ proszę pana, pan tam nie może wejść. Poza tym płaszcz trzeba zostawić na dole w szatni. No i należy założyć specjalne ochraniacze i maseczkę, sale pacjentów są sterylne. Nie mówiła panu tego pielęgniarka przy wejściu?!

Mężczyzna zdjął prochowiec, niedbale rzucił go na krzesło stojące na korytarzu.

- Pani doktor. Mówiła, mówiła. Ale pani rozumie. To dla mnie wysiłek. Ja tylko na chwilunię - odpowiedział.

- Dobrze. Tam są ochraniacze na buty i fartuch. - Kobieta westchnęła i wskazała palcem na wieszak stojący w korytarzu. - A tu, proszę, maseczka. - Podała mu podłużne papierowe pudełko z jednorazówkami.

Założył jedną i ochraniacze na buty. Potem narzucił na ramiona zielony fartuch ochronny.

- Tak może być? - spytał i popatrzył proszącym wzrokiem na lekarkę.

- Sala druga, po prawej stronie.

Starszy mężczyzna, zamiast ruszyć we wskazane miejsce, skręcił do męskiej toalety. Wszedł do kabiny. Z kieszeni marynarki wyjął chirurgiczną lateksową rękawiczkę i naciągnął ją, a następnie w tej samej dłoni schował niewielki atomizer wyglądający jak buteleczka z perfumami. Delikatnie przekręcił jego główkę. Spuścił wodę i wyszedł z toalety.

Romańczuk był sam w szpitalnym pokoju. Spał. Ciężko oddychał. Jego skóra przypominała trochę pergamin, spod którego prześwitywały błękitne pajęczyny żył. Świecąca nad nim jarzeniówka pogłębiała jej bladość, podobnie jak jasnożółte płytki na ścianach. Przy łóżku stała kroplówka, jednak nie była podłączona. Na stoliku obok leżała jakaś gruba książka w czerwono-czarnej okładce z dużym białym napisem. Obok stała szklanka z niewypitą wodą. Mężczyzna sprawdził w szpitalnej karcie chorobowej przymocowanej do ramy łóżka nazwisko pacjenta. Upewnił się, że nie doszło do pomyłki. Mimo że miał w przeszłości do czynienia z Romańczukiem, musiał to zrobić. „Nie ma gorączki? Ciśnienie w normie jak na ten wiek i stan?” - czytał w myślach kartę. Jeszcze raz popatrzył na chorego. „Jednak trochę się zmienił. Postarzał się, schudł, posiwiął, włosy już mocno przerzedzone. Choroba i lata odcisnęły na nim piętno” - doszedł do wniosku.

Ostrożnie podniósł szklankę z wodą. Odwrócił się od Romańczuka. Dłoń w rękawiczce odsunął jak najdalej od swojej twarzy. Wstrzymał oddech i delikatnie spryskał szklane krawędzie. Następnie postawił ją na stoliku i zdjął rękawiczkę. „Szkoda go, szybko się uczył i awansował” - pomyślał.

Wychodząc z sali, spokojnie zlustrował korytarz. Nie zauważył jakiegokolwiek ruchu. Na oddziale panowała senna atmosfera. Kątem oka dostrzegł jednak kamerę przy wejściu oraz nad punktem pielęgniarskim.

Obecność tych urządzeń nie zburzyła jednak jego spokoju. „Pewnie już nigdy nie przyjadę do Polski. To przecież jest koniec. Mogą mnie szukać!” – pomyślał. Ale jednak odruchowo zgarbił się i schylił głowę, kryjąc ją w ramionach.

- Do widzenia. - Uśmiechnął się do pielęgniarki, która pojawiła się przy wejściu i patrzyła w jakieś papiery.

Nawet mu nie odpowiedziała. Zgarnął z krzesła płaszcz i wyszedł. W kieszeni spodni delikatnie wymacał niewielki krzyżyk zrobiony z kamienia – jego talizman, z którym nie rozstawał się niemal od początku swojego życia. Dostał go od opiekuna w dalekiej Afryce. Zawsze miał go przy sobie, wierzył, że przynosi mu szczęście.

\*\*\*

Starszy mężczyzna zaparkował fiestę pomiędzy drzewami kilkanaście metrów od ulicy Topolowej na peryferiach Żyrardowa. Wcześniej na jednej ze stacji benzynowych na trasie z Warszawy kupił kawę. Podjechał na nieodległy parking. Przebrał się w ciemne sportowe ubranie. Miał teraz na sobie granatowe jogery i czarną bluzę, a na głowie czapkę z daszkiem. Ewentualny przechodzień powinien wziąć go za zwykłego biegacza.

Wyszedł i skierował się w kierunku kępy krzaków. Od posesji, która była jego celem, dzieliło go niecałe dwieście metrów. Wyjął z zapinanej na suwak kieszeni spodni małą lornetkę. Zaczął spokojnie obserwować ruch wokół domu. Przed bramą wejściową stał oznakowany radiowóz policyjny, a na terenie posesji czarny volkswagen transporter. Boczne drzwi vana były uchylone, a w środku siedział mężczyzna i coś przeglądał na laptopie. W parterowym, pomalowanym na szaro domu, krytym rudą ceramiczną dachówką, kręcili się ludzie. Co kilka minut ktoś wchodził i wychodził. Ekipa wносиła i wносиła jakieś walizki. Każdy ruch na podwórku gardłowym ujadaniem sygnalizował przywiązany linką do budy owczarek belgijski. Pies, gdyby tylko mógł, skoczyłby na każdego obcego, który pojawił się na jego terenie. W pewnym momencie z domu wyszła szczupła, krótko ostrzyżona kobieta w średnim wieku. Stała z boku i nerwowo zapaliła papierosa. „Chyba żona. Tak, zgadza się” – upewnił się w myślach.

Po siedemnastej część ekipy dochodzeniowej odjechała samochodami, które stały z drugiej strony posesji. Tych pojazdów nie widział ze swojego miejsca obserwacji. Pół godziny później z podwórka na szutrową drogę wyjechał van. Kierowca zatrzymał się jeszcze przy policyjnej kii, uchylił okno i coś powiedział do funkcjonariusza w radiowozie. Chwilę potem ten także odjechał. W tym momencie na posesję wjechał seledynowy citroën C3 kierowany przez kobietę. Zatrzymał się. Z auta wysiadło dwóch nastolatków, którzy zaraz podbiegli do psa. Pies był spokojny, zapewne ich znał. Wyszła do nich żona Romańczuka. Kobiety rozmawiały nerwowo przez kilkanaście minut. Potem goście wsiedli do citroëna i odjechali.

Dziesięć minut później światła w domu zgasły. „Jest zmęczona. Pewnie weźmie środek na sen. W końcu spadło to na nią jak grom. Musi odpocząć” – doszedł do wniosku, nie odrywając oczu od lornetki. Postanowił wrócić do fiesty i odczekać godzinę. Przypomniał sobie o kiełbasie, która mocno pachniała czosnkiem w samochodzie. Nie



miał czasu nawet czegoś zjeść. Wziął kajzerki. Napił się resztki zimnej kawy w papierowym kubku. Strzepnął z joggerów okruchy po bułkach.

Wrócił na swój punkt obserwacyjny. Właśnie w tym momencie zauważył jakiś ruch koło domu poprzedzony włączeniem światła na ganku. Przyłożył do oczu lornetkę. W uchylonych drzwiach domu stała żona Romańczuka. W jednej ręce trzymała kieliszek wina, w drugiej – papierosa. Paliła łapczywie. Wrzuciła niedopałek do doniczki z czerwoną pelargonią. Podeszła do wejściowej furtki i zamknęła ją na klucz, następnie spuściła psa z uwięzi. Chociaż ten zaczął się łaścić, nie miała ochoty na zabawę. Zniknęła za drzwiami. Światło na werandzie zgasło.

Mężczyzna wrócił do samochodu. W pobliżu nie zauważył nic niepokojącego. Powoli się ściemniało. Z południa nadciągały chmury burzowe. Wyjął ze schowka fiesty zawinięte w papier pętko kielbasy oraz niewielką buteleczkę i strzykawkę. Wciągnął w nią centymetr płynu, wbił igłę w kawałek wędliny i nacisnął tłoczek. Włożył rękawiczki, na głowę naciągnął kominiarkę, do zapinanej kieszeni włożył małą latarkę taktyczną. Odczekał chwilę. Robiła się już szarówka. Był znowu na miejscu obserwacji. W domu nie paliły się żadne światła. „Czas na mnie”. Schyłony podbiegł przez porośnięte wysoką trawą pole do ogrodzenia posesji. Pies błyskawicznie znalazł się przy nim, spojrzał na intruza, zastrzygł uszami, a potem, szczerząc zęby, gwałtownie narpał na ogrodzenie. Ale właśnie wtedy mężczyzna przez siatkę przerzucił kawałek kielbasy naszprycowany środkiem usypiającym. Pies jeszcze przez chwilę ujadł, ale po kilku minutach znużył się, bo wywąchał smakołyk. Po kolejnych kilku leżał na boku i się nie ruszał. Mężczyzna sprawnie pokonał niezbyt wysokie ogrodzenie. Latarką omiół brunatne cielsko owczarka, dla pewności delikatnie dotknął go nogą. Pies nie reagował, z pyska wystawał mu jedynie różowy język.

Skierował się do stojącej obok domu niewielkiej drewnianej komórki. Uchylił drzwi. Wszedł do środka i zamknął je za sobą. Działał jak automat. Zapalił latarkę i podszedł do równo poukładanych kawałków drewna. Wyjął z kieszeni zdjęcie z zaznaczonym jednym z nich. Szybko odnalazł ten właściwy, wyciągnął i schował do czarnego worka. Wszedł. W tym momencie zapaliło się światło nad drzwiami do domu. Usłyszał szcęk otwieranego zamka. Biegiem ruszył do ogrodzenia. Pokonał je dwoma sprawnymi ruchami. Spojrzał za siebie i zobaczył przerażoną kobietę. Nie krzyczała. Zamarła ze strachu, patrzyła na nieruchome ciemne ciało psa. Dłonie przyciskała do ust, jakby bała się, że głos wydostanie się jej z gardła.

Mężczyzna dobiegł do samochodu. Błyskawicznie uruchomił silnik i powoli ruszył. Kątem oka spojrzał jeszcze raz na dom. Kobieta uciekła do środka. Jednak posesja cała była rozświetlona. Zerwał z głowy kominiarkę. Wcisnął pedał gazu. Przejechał obok plenerowej siłowni na osiedlu Leśna. Kierował się w stronę Zalewu Żyrardowskiego.

Droga do zbiornika wodnego zajęła mu niecałe pięć minut. W tym czasie nad miastem rozszalała się burza. Wiał mocny wiatr, ale deszcz jeszcze nie padał. Zrobiło się zupełnie ciemno, a niebo rozświetlały błyski. Zwolnił. Wjechał na pusty o tej porze parking. Włączył w samochodzie latarkę i nożem ze swojego multitoolu Leathermana podważył szczelinę w kawałku drzewa. Ze schowka wyjął telefon komórkowy, który Romańczuk wykorzystywał do łączności specjalnej. Telefon i kartę SIM zmiażdżył kombinerkami. Wszedł z samochodu i rzucił zniszczony telefon i kartę daleko przed siebie, w ciemną otchłań wody. Usłyszał cichy plusk. Odszedł kilkanaście metrów w bok i z całej siły wyrzucił do zalewu swój rewolwer. Wrócił do fiesty. Nie bez trudności

przebrał się w eleganckie ubranie. Włożył tweedową marynarkę. Przeglądając się w lusterku wstecznym, poprawił włosy. Sportowe rzeczy i kominiarkę zwinął i włożył do torby foliowej na śmieci. Postanowił wyrzucić ją gdzieś dalej, po drodze.

Stał się zupełnie innym człowiekiem. Dopiero teraz napięcie zupełnie puściło. Rozluźnił się. To było jego ostatnie zadanie. Wciągnął nosem ciepły zapach nocy. W tym momencie zaczął padać rześisty deszcz. „Limit szczęścia na dziś został wyczerpany”. Uśmiechnął się na myśl, że wszystkie ślady, które zostawił na polu w pobliżu domu Romańczuka, niebawem spłyną wraz z wiosennym deszczem.

Ruszył w kierunku Warszawy. Na trasę do stolicy wjechał przez węzeł Wiskitki. Po czterdziestu minutach zostawił samochód na parkingu podziemnym przy lotnisku Fryderyka Chopina. Kluczyki zostawił pod wycieraczką, podobnie jak dokumenty wozu. Wyjął z bagażnika niewielką walizkę i ruszył do terminalu A. Samolot do Frankfurtu miał za dwie godziny.